

ANTTI TUOMAINEN



NAJGORĘTSZA
PLAŻA
W FINLANDII

KOMEDIA KRYMINALNA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
PALM BEACH, FINLAND

Copyright © Antti Tuomainen 2017

All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Bożena Kojro 2020

Redakcja: Joanna Popiołek

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Like Publishing Ltd.

Projekt graficzny okładki polskiej: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

To był wypadek, niefortunne przypadkowe zdarzenie. Zostało spowodowane nieporozumieniem, brakiem synchronizacji między popchnięciem a pociągnięciem. Dlatego złamał się kark i rozległ się dźwięk przypominający pęknięcie suchej deski.

Spotkali się naprzeciwko tablicy. Kari „Chico” Korhonen pojawił się pierwszy. Starał się sprawiać wrażenie, jakby na nikogo nie czekał, co było potwornie trudne. Co jakiś czas patrzył na tablicę, udając, że dopiero ją ujrzał, że właśnie przechodził obok i rozglądał się. Zrobił dziesięć kroków w stronę brzegu, odwracając głowę w prawo.

PALM BEACH FINLAND

It's the hottest beach in Finland.

Zawrócił, jakby o czymś zapomniał, i znów zrobił dziesięć kroków w stronę miasta z głową zwróconą w lewo.

PALM BEACH FINLAND

It's the hottest beach in Finland.

Zdaniem Chica zmianę, jaka tu nastąpiła, można było przyrównać do pojawienia się kolorowej telewizji. Jorma

Leivo, nowy właściciel wioski urlopowej, przekreślił wielki barwny przełącznik. W ciągu dwóch miesięcy z dawnego ośrodka Milutkie Wczasy wyłoniła się Palm Beach Finland, jakby z szarego niczym ziemia jaja wykuł się nagle bajecznie kolorowy, dźwięcznie śpiewający ptak.

Chico uważał, że nowe barwy – turkusowy, jasnoniebieski, różowy, jasnozielony – są ładne. Cała miejscowość, której Jorma Leivo także nadał nową nazwę, jarzyła się i lśniła – budynki na plaży, restauracja, domki gościnne, przebieralnie, sklep, wypożyczalnia desek windsurfingowych, a nawet pizzeria. Wszystko pyszniło się nowością, pokryte grubą warstwą farby. Nawet tablica o rozmiarze dwadzieścia na pięć metrów wprost biła w oczy neonowym kolorem oraz przypominającymi kolumny literami i hasłem. Stała w takim miejscu, że widać ją było zapewne aż w Tallinie. Piaszczystą plażęapełniały pstrokate parasole przeciwsłoneczne w tych samych jaskrawych barwach, chociaż niektórzy mogli mieć wątpliwości co do tego, czy w ogóle są tu potrzebne. Wiejący bez przerwy wiatr i lodowata woda sprawiały, że plażowe leżaki ciągle świeciły pustkami. Po tej stronie miasta brzeg ogradzały stojące w szeregu okazałe drzewa, obok których Chico chętnie przechodził. Były to palmy, nowo posadzone, z plastiku, ale jednak palmy.

Życie się zmieniało, dopiero się zaczynało.

Bo cóż innego to wszystko mogłoby oznaczać?

I co może oznaczać spotkanie z Jormą Leivem?

Po raz pierwszy spotkali się wtedy, gdy Chico został przyłapany na drobnej kradzieży. Zwykły wypadek przy pracy. Najpierw obserwował zmierzającą chwiejnym truchtem

do wody otyłą kobietę, a potem podszedł łukiem do jej torebki, zabrał kilka kuponów lunchowych i wrócił na wieżę ratowniczą, gdzie czekał już Jorma Leivo. Ten nie słuchał jego wyjaśnień o nagłym kryzysie finansowym i problemach wynikających z sezonowych cen, lecz szybko oświadczył, że przydałby mu się taki przedsiębiorczy, przejawiający własną inicjatywę człowiek jak Korhonen. Gdy jeszcze dodał, że jak ktoś sięga po dziesiątki, to może nie zauważyć tysięcy, Chico pomyślał, że otwierają się przed nim wrota i że wszystko zależy już tylko od drobiazgu. Czytał różne biografie i wiedział, jak Eric Clapton i Bruce Springsteen...

– Przepraszam.

Chico odwrócił się i ujrzał brązowe oczy Robina.

– Czemu przepraszasz?

Przyjaciel patrzył na niego, jego głowę pokrywał milimetry czarny dywanik. Trudno było stwierdzić, gdzie zaczyna się broda, a gdzie włosy, i gdzie dokładnie znajduje się twarz. Nic nie wskazywało również na to, że Robin jest kucharzem i pracuje w jasnoniebieskiej nadbrzeżnej restauracji, zwanej dawniej Rantarysä, a obecnie Beverly Hills Dining.

– Pomyślałem, że tak się mówi, kiedy ktoś się spóźni albo gdybyśmy chcieli pokazać, że spotykamy się tu przypadkowo, jakbyśmy się nie znali. Wtedy ja mógłbym zapytać: Przepraszam, która godzina?

– Ale przecież musisz wiedzieć, która godzina, jeżeli uważasz, że jesteś spóźniony – oznajmił Chico. – No i my się znamy. Leivo powiedział, że to spotkanie jest *top secret*, więc postanowiłem, że nie będziemy się rzucać w oczy,

zastosujemy się do rozkazu szefa.

Robin zwrócił głowę w stronę brzegu, a potem spojrział na miasteczko.

– Nikogo nie widzę ani nikt mnie nie widzi. Możemy iść.

Chico pomyślał, że chociaż kolega nie ma wszystkich klepek, to jednak można mu zaufać. I przyjaźnił się z nim od dziecka. Jeśli zna się kogoś całe życie, to tak jakby znało się go od podszewki, prawda? Była za siedem siódma, gdy ruszyli na spotkanie z właścicielem ośrodka.

Jorma Leivo przypominał – ze względu na fryzurę i oczy – znanego z filmów wynalazcę: miał łysy czubek głowy, a po bokach jasne, kręcone włosy sterczące na wszystkie strony; niebieskie oczy patrzyły z takim natężeniem, że ten, komu się przyglądały, musiał odwracać wzrok. Jego ubranie przywodziło na myśl stroje, które Chico pamiętał z dzieciństwa. Szef nosił mocno wywatowaną na ramionach, białą jak śnieg marynarkę, a pod nią jaskraworóżową koszulę. Obficie się pocił i przemawiał głębokim, łagodnym i zapraszającym głosem. Chico uznał, że sprawia on wrażenie światowca i biznesmena. Wszystko dobrze się zapowiadało.

– To nic poważnego – oświadczył Leivo, spoglądając na przemian na jednego i drugiego. – Trzeba stłuc jakieś okno, przewrócić beczkę na deszczówkę, może szopa w ogrodzie spłonie, ktoś ukradnie rower, ktoś nasika do skrzynki pocztowej. Sami coś wymyślcie. Niech to będą rozmaite szkody. Najlepiej codziennie. Najlepiej, jeśli po jednej szkodzi będzie następna, jeszcze większa. Wiecie, o co mi chodzi. O taką ostro wznoszącą się krzywą. Coraz wyżej i wyżej.

Chico milczał.

– Muszę mieć willę i działkę na własność w ciągu miesiąca – kontynuował Leivo. – Im szybciej to się stanie, tym lepiej. Miesiąc to ostateczny termin. Zaczniecie dzisiaj. Jakież pytania?

Chico próbował sprawiać wrażenie, jakby prowadził takie rozmowy od zawsze. Przechylił się swobodnie do tyłu i założył nogę na nogę.

– Jesteśmy w tej branży zawodowcami... – zaczął, ale nie zdążył nic dodać, bo Leivo mu przerwał.

– W jakiej branży? – zapytał.

Chico spojrzał na niego. Musi za wszelką cenę dokończyć zdanie, ponieważ dopiero na drugie pytanie miał gotową odpowiedź. I teraz...

– To poufna informacja – usłyszał z boku. Był to Robin, który swoim zwyczajem mówił, jakby w środku kręciła mu się taśma z przypadkowo nagranyimi zdaniami. Leivo spojrzał na niego i cofnął się. Wydawało się, że chce zapytać, co Robin ma na myśli. Na to nie można było pozwolić. Chico musiał zawrócić ciężarówkę znad skraju przepaści.

– Jakie wynagrodzenie przewiduje pan za tę pracę? – spytał.

Spojrzenie Leiva zwróciło się ponownie na niego.

– Pan?

– Powiedziałem „pan”, bo pomyślałem, że jednak jesteś naszym przełożonym.

– Teraz mówisz mi na ty.

Chico zastanawiał się przez chwilę.

– Trudno rozmawiać o mówieniu na ty z kimś, do kogo

mówi się pan – powiedział i zaraz pożałował swoich słów. – I na odwrót chyba też.

Leivo oparł się dłońmi o brzeg stołu, raz po raz zginał i prostował palce.

– Potraktujemy to nieoficjalnie. Jestem waszym szefem tylko wtedy, kiedy ty pracujesz jako ratownik – oznajmił, patrząc najpierw na Chica, a potem na Robina – a ty jako kucharz. I jeszcze raz podkreślam, że to nie wchodzi w zakres waszych oficjalnych obowiązków.

Chico wyczuł zapach świeżej farby pokrywającej ściany. Przez chwilę w pastelowym, różowym pokoju panowała głęboka cisza.

– Płacę tylko za wyniki – oświadczył Leivo. – Wynagrodzenie wynosi pięć tysięcy euro.

Chico zmienił pozycję i znów założył nogę na nogę, tym razem na odwrót. Marzył o dwóch rzeczach: żeby nie można było po nim poznać, ile ta suma dla niego znaczy – a znaczyła wszystko – oraz żeby Robin się nie odezwał.

Pomyślał także, że czterdziestka nie będzie jednak oznaczała dla niego końca świata. Jeszcze przyjdzie na to czas. Ma dopiero trzydzieści dziewięć lat, ale co to znaczy? Nic. W przyszłym roku o tej porze będzie działał pełną parą. Eric Clapton ma siedemdziesiątkę. B.B. King występował w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat. A on, Chico, w przyszłym roku wyda debiutancką płytę, będzie grał w klubach, w halach sportowych, na stadionach, będzie sprzedawał swoje T-shirty. Spotka Erica, zanim skończy pięćdziesiąt lat, i przy tej okazji mówiącą po angielsku wytatuowaną kobietę z lśniącymi piersiami...

- Rozsądna propozycja – powiedział.
- Oczywiście musicie się podzielić – dodał Leivo. – Ta suma jest na was dwóch.
- Pięć tysięcy podzielone przez dwa to dwa tysiące pięćset – stwierdził Robin.

Dwa tysiące pięćset euro nie wystarczy na nową, oryginalną, pierwszorzędną gitarę Les Paul, zauważył Chico w duchu. W każdym razie nie na ten model, który wypatrzył w sklepie z instrumentami. Taki, który chciał mieć koniecznie.

- To wasza sprawa, jak się podzielicie pieniędzmi – oznajmił Leivo. – Ważne jest, żebyśmy się bezwzględnie zrozumieli. Tej rozmowy między nami nigdy nie było. Nigdy nie zrobiliście tego, cokolwiek zrobicie. Ja nic o tym nie wiem. Nigdy wam niczego nie zapłaciłem, nigdy nie dostaliście ode mnie żadnych pieniędzy. A teraz koniec spotkania.

Leivo wstał, lecz Chico nadal siedział. Szef spojrzał na niego jakby nieco zniecierpliwiony.

- Czy coś jest niejasne?
- W takich sytuacjach płaci się chyba jakąś zaliczkę – zasugerował Chico.
- Bez wyników?

Chico zerknął na Robina. Ten wpatrywał się w swoje kolana. Na szczęście nadal siedział.

- Zaliczka jest jakby zobowiązaniem – oświadczył Chico i poczuł lekką dumę ze swoich słów.

Leivo przez chwilę milczał, a potem wyciągnął z górnej kieszeni marynarki portfel.

- O jakim zobowiązaniu teraz mówimy? – spytał.

Chico starał się ukryć, jak małe doświadczenie ma w rozmawianiu o dużych sumach.

- Pięćset – zaproponował. – Na głowę.
- Dobrze – zgodził się Leivo i gdy triumfujący Chico niemal roześmiał się w duchu, dodał: – Płacę sto na głowę i umowa stoi.

Wyciągnął z grubego zwitka znajdujące się na wierzchu pięćdziesiątki, a potem podał je rozmówcy ponad stołem. Chico działał instynktownie. Wstał z krzesła i chwycił pieniądze. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że widok pieniędzy go podniecił. Właśnie tak na niego działały i nic nie mógł na to poradzić.

Banknoty były lekko wilgotne.

Willa znajdowała się na końcu wspaniałego cypla otoczonego piękną piaszczystą plażą. Z lewej strony jego brzeg łagodnie zakręcał i kończył się rozległym i gęstym lasem, za którym znajdował się niewidoczny teren ośrodka wczasowego, czyli Palm Beach Finland. Chico wiedział, że Jorma Leivo podpisał już umowę na zakup zalesionej działki. On i Robin leżeli właśnie na brzuchach pod sosnami i spoglądali na dom. Zrobiło się ciemno.

- Co ten Leivo ma do Olivii? – spytał cicho Robin.
- Chyba nic – odparł szeptem Chico.
- Czemu chce, żebyśmy nasikali do jej skrzynki na listy?
- Nie będziemy sikać do żadnej skrzynki na listy.
- To co zrobimy?

Chico nie zdążył odpowiedzieć. Na parterze zapaliło się

światło.

To Olivia wróciła do domu. Gwoli ścisłości, wróciła do domu już dwa miesiące temu, zaraz po śmierci ojca, który doznał rozległego ataku serca w kajaku, a potem spłynął popychany wiatrem na kąpielisko dla dzieci i siedział tak – strasząc maluchy – skulony, z wiecznym uśmiechem zastygłym na twarzy i wiosłem w nieruchomej ręce. Ktoś zrobił mu wtedy zdjęcie, Chico też je widział. Następnego dnia po śmierci ojca Olivia Koski wróciła do swojego rodzinnego miasta i postanowiła w nim zostać. Nadal była samotna.

W oknie budynku pojawiło się światło, a na ścianie pokoju ludzki cień.

Chico nie należał do ludzi działających bez planu. Wygrzebał z ziemi spory kamień i pokazał go Robinowi. Ten zrozumiał i też chwycił kamień. Chico wyjaśnił mu, na czym polega jego plan, który prawdopodobnie wymyślili już jaskiniowcy – zamach, rzut i ucieczka. Chico miał policzyć do trzech. Na dwa Robin podniósł rękę, a on zaraz po nim, wybiegli z lasu do ogrodu i jednocześnie rzucili kamieniami. W oświetlonym oknie na parterze zabrzęczała rozbita szyba. Chico i Robin okrążali właśnie róg domu, kierując się w stronę pograżonego w mroku lasu, gdy to usłyszeli. Połączenie wycia, okrzyku bólu i piskliwej prośby o pomoc. Zatrzymali się i stanęli niczym słupy soli w ciemnym ogrodzie. Znów rozległ się krzyk.

– Szkoda, że nie nasikaliśmy do skrzynki na listy – wyszeptał Robin. – Nikogo nic by nie bolało i byłoby wesoło.

Chico próbował zebrać myśli. Jego plan tego nie

przewidywał.

– Musimy... – zaczął, ale nie wiedział, co powiedzieć. Coś powinni zrobić. Cokolwiek. – Musimy się upewnić, że nikomu nic złego się nie stało.

Znów usłyszeli krzyki, a na dodatek jakiś stukot i uderzenia.

Odwrócili się, wyszli cicho z domu i zbliżyli się do schodów na werandę, wspięli się na nie i otworzyli drzwi. Sprawiająca przyjemne wrażenie weranda ze znajdującą się na niej sofą była pusta. Dźwięk dochodził z głębi domu. Chico wszedł dalej, a Robin podążał tuż za nim.

Zaopatrzone w okienko wewnętrzne drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Chico wzdrygnął się i zacisnął zęby. Zatrzymał się, czując, że Robin niemal dotyka go swoim ciałem. Światło padało z prawej strony i Chico zauważył charakterystyczne dla kuchni szafki i meble. Nadstawił uszu, ale nic nie usłyszał. Żadnego dźwięku, stukotu, uderzenia. Przeszedł dalej, w stronę drzwi, przystanął przy futrynie i zajrzał do środka.

Wykładana kaflami podłoga, blat z ciemnego drewna, szafki kuchenne, rozbite okno. A nade wszystko krew. Krew i okruchy szkła. Wszędzie. Kałuża krwi pod oknem, tu i ówdzie rozpryski i plamy. Na białych drzwiach lodówki gruba czerwona krecha. I strużka krwi prowadząca...

Tutaj.

Chico poczuł na wargach mikser. Zdał sobie sprawę, że się przewraca, próbował utrzymać się w pionie, ale jego nogi znajdowały się nie tam, gdzie sądził, więc tylko się zakołysał.

Przewracał się na plecy, widząc najpierw jasne, a później

ciemniejące obrazy niczym w komiksie: czarne długie włosy, zakrwawioną twarz i szczupłą sylwetkę Olivii w czarnych dżinsach i czarnej koszulce polo, białą plastikową obudowę miksera z odbitym światłem okrągłej kuchennej lampy.

W końcu runął na podłogę i dostrzegł Robina, który zajrzał do kuchni, podobnie jak on przed chwilą, i tak samo dostał mikserem, ale w bok głowy, więc upadł w progu na kolana, jakby błagał o możliwość wejścia do środka.

Chico się zdziwił i jednocześnie rozgniewał; przecież martwili się o Olivie, przyszli sprawdzić, czy nie stała się jej jakaś krzywda, a w zamian za to dostają, cholera, w mordę. Usłyszał kroki, domyślił się, co zaraz nastąpi, lecz nie zdążył zareagować. W polu widzenia migotały mu nadal wielkie, czarne, zasłaniające wszystko sześciany. Cios mikserem przypominał uderzenie niedźwiedzią łapą: był bolesny i ogłuszający.

– Przyszliśmy pomóc – jęknął Chico.

Ale Olivia go nie słuchała. Mikser znów wzniósł się wysoko i opadł szybko. Mimo uderzenia Robin utrzymał się w pozycji kłęczącej. Chico poczuł, że jego ucho ogarniają płomienie, a w głowie dzwonią dzwony.

Trzeba było opanować sytuację.

Chwytał za brzeg stołu i podźwignął się. Ciemna postać zbliżała się do niego. Chico zanurkował i złapał Olivie za uda, tak że straciła równowagę. Zawołał do przyjaciela, żeby mu pomógł, i oboje przewrócili się w jego stronę. Robin zaatakował. Olivia wypuściła mikser i upadła brzuchem na podłogę. Chico trzymał ją nadal za nogi, a Robin chwycił jej głowę tak, że znalazła się pod jego pachą. Chico kazał

mu uklęknąć i sam też to zrobił. Kobieta była lekka, no i wreszcie będzie jakiś pożytek z uporu przyjaciela, bo ten na pewno nie poluźni uchwytu.

Wymyślił trzeci już tego wieczoru plan: wyniosą Olivię do ogrodu, na świeże powietrze, porozmawiają z nią, ustalą wszystko, Chico był gotów zapłacić za rozbite okna. Pieniądzy im starczy, chociaż odszkodowanie stało oczywiście w sprzeczności z zamiarami Jormy Leiva, ale...

Chico krzyknął do Robina, że nie mogą teraz uciec, bo Olivia ich zna. Wyglądało na to, że kolega to zrozumiał.

Podnieśli się z trudem; trzymana przez nich kobieta wiała się, szarpała, kopała. Chico zapał się nogami i zawołał do Robina, żeby pomógł mu ją wynieść na zewnątrz.

Przyjaciel pokiwał głową i odwrócił się, żeby stanąć wygodniej. Chico postąpił podobnie, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, dał sygnał do działania i dźwignął kobietę. Kałuża krwi, w której chwilę temu znajdowała się twarz Olivii, a w której teraz stał on w swoich adidasach, była świeża, więc się poślizgnął i upadł na plecy, instynktownie wzmacniając uchwyt. W tej samej chwili Robin, trzymający głowę Olivii pod pachą, pociągnął ich w stronę drzwi.

Rozległ się trzask przypominający pęknięcie suchej deski. Olivia zawisła bezwładnie. Robin nadal ciągnął ją za głowę, chcąc wyjść do ogrodu. Chico, trzymając kobietę za nogi i szamocząc się w kałuży krwi, krzyknął do Robina, żeby się zatrzymał. Potem kazał mu puścić Olivię i sam też zwolnił uchwyt. Kobieta osunęła się na podłogę.

Ukląkł, a Robin przystanął w progu.

– Nigdy jej takiej nie widziałem – powiedział.

Chico uznał to za oczywiste. Ostrożnie przesunął się na czworakach bliżej przyjaciela. Ciemne włosy leżącej na ziemi Olivii zsunęły się z jej pociągłej twarzy, otartej rękawem koszuli na tyle, że można było rozpoznać rysy. Skóra sprawiała wrażenie dziwnie białej i niezwykle napiętej, a wpatrujące się intensywnie w listwę przypodłogową oko miało jasnoniebieski kolor. Ucho było małe, wąsy rzadkie, a skąpa kozia bródka przypominała czarny pędzel.

Chociaż raz Robin miał rację. Chico także nigdy nie widział takiej Olivii. Z tej prostej przyczyny, że to nie była Olivia.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

1

Ludzie, którzy borykali się z wyzwaniem i bólami związanymi z rozwodem, chcieli najwyraźniej dzielić się swoimi doświadczeniami, opowiadać o tym, co im się przydarzyło, jak przez to wszystko przeszli.

Jan Nyman czuł się źle w takich sytuacjach: nie mógł powiedzieć szczerze, że ten temat go nie interesuje, chociaż faktycznie go nie interesował, nie sądził także, aby rozwód wymagał specjalnych umiejętności, które pozwalały przetrwać, nie mógł też powiedzieć o Tuuli nic złego. Wprost przeciwnie. A teraz, gdy szef, który wezwał go do siebie i już przez telefon wydawał się spięty, kiedy podkreślał: „Nie idź przez kafenię”, „Nie zagłądaj na swoje biurko, tylko przychodź od razu do mojego gabinetu”, zaczął opowiadać pewną historię, pozostało mu jedynie czekać.

– Byliśmy z Maiju na tygodniowym obozie terapeutycznym – powiedział Muurla na początek, dając do zrozumienia, że oczywiście on też, jak można się domyślać, ma doświadczenie w kwestii rozwodu. – Żeby nasz związek zaczął funkcjonować. Oprócz nas było tam jeszcze sześć

innych par małżeńskich, tacy ocierający się o rozwód ludzie, którzy powinni bez wątpienia uciec jak najszybciej od siebie w przeciwnych kierunkach, a nie robić niczego wspólnie, nawet nie czekać razem na autobus, nie mówiąc o pobycie w lesie i rozdrapywaniu ran na nowo. No więc jedziemy cholernie długo samochodem do jakiegoś gospodarstwa rolnego, przez całe czterysta dwanaście kilometrów krzyczymy na siebie, a potem panienki otwierają się zaraz przy powitalnej okropnie śmierdzącej herbatce z huby, opowiadają wszystkim o swoim życiu seksualnym, jak to jakiemuś Jariemu nie staje, więc musiałam się puścić i było mi z tym dobrze, faceci siedzą dokoła z czerwonymi uszami, chata się trzęsie, herbatka stygnie. Ten obóz prowadził taki jeden człowiek, mówił miękkim głosem, nie chodził z innymi facetami do sauny. Myślałem, że chce zachować autorytet. Że chce trzymać dystans wobec klientów. Jednocześnie obserwował nas, gapił się i wyglądało, jakby tracił cały czas nadzieję, że coś z nas będzie, twarz mu czerwieniała, zaciskał wargi, pulsowała mu żyła na skroni. Nie był zadowolony, że mężczyźni grają w siatkówkę. Stał daleko w krzakach, nie podchodził w pobliże boiska. Potem, czwartego dnia, przysła kolej na mnie, żeby rozpać ogień w saunie, i gdy szedłem tam z wielkim naręczem porządnego suchego drewna, usłyszałem, jak w ubieralni ktoś dyszy, zaglądam do środka i widzę jednego z mężów, nie tego Jariego, ale innego faceta z Espoo, jak leży brzuchem na ławce, a ten mówiący miękkim głosem facet wciska mu marchewkę, aż wióry lecą. Ubrany w koszulę zapiętą na ostatni guzik. Zaniósłem drewno z powrotem na stos, poszedłem do Maiju, pocałowałem ją w policzek

i powiedziałem, żebyśmy podpisali papiery rozwodowe. Potem pojechaliśmy w zgodzie do domu i do dziś jesteśmy przyjaciółmi. Taka to sobie zwykła historia.

Wydawało się, że Muurla zbiera myśli. Nyman nie zamierzał wcale komentować tej opowieści, nawet przerywnikami w stylu „Właśnie, no tak”. Zerknął na zewnątrz.

Budynek Centralnego Biura Śledczego w Vantaa stał na dużej, należącej do policji działce, pokój Muurli znajdował się na trzecim piętrze, od południowo-zachodniej strony, z której leżała inna, niezabudowana, działka wielkości pola uprawnego. Była bardzo zielona, porośnięta trawą, otoczona delikatnymi brzożami, co przypomniało Nymanowi o jego letnim urlopie. Miał go przed sobą, mimo to sprawiał wrażenie, jakby był już po wakacjach: był w nowym białym obuwiu sportowym, luźnych granatowych dżinsach, czerwono-szarej flanelowej koszuli; kilkudniowy zarost podkreślał dołki w policzkach, ciemne, dłuższe niż zwykle u mężczyzn włosy były jeszcze wilgotne po prysznicu i zmierzwione. Właściwie to wyglądał tak codziennie; zdaniem Tuuli przypominał piosenkarza country i długodystansowego biegacza. Lecz nie był ani tym, ani tym. Był za to najlepszym śledczym w jednostce zajmującej się działalnością pod przykryciem. Nyman pomyślał, że właśnie to jest powodem jego obecności w gabinecie szefa. Spojrzał na Muurłę, który sprawiał wrażenie, jakby wrócił do toczącego się właśnie dnia.

– Komplet materiałów dotyczących śledztwa – powiedział Muurla, splatając palce i kładąc dłonie na stole niczym do modlitwy – znajdziesz w komputerze i możesz

je sobie tam przejrzeć. Skrócona wersja: zwłoki w małym miasteczku, śledztwo na poziomie lokalnym bez rezultatów, zespół Centralnego Biura Śledczego pojechał tam i odjechał, bez rezultatów. Sprawa pod każdym względem podejrzana.

Nyman spojrział na siedzącego za biurkiem zwalistego mężczyznę o twarzy przypominającej starodawną sofę pokrytą zniszczoną, pomarszczoną skórą. Muurla był jego przełożonym od czasów, gdy Nyman zaczął pracę w jednostce do działań pod przykryciem po latach spędzonych w wydziale kryminalnym policji w Helsinkach. Nie znał jego przeszłości, nie wiedział nawet, ile ma lat; jego jednostka funkcjonowała tak, jak ich uczono. Szef mógł być już blisko sześćdziesiątki. Nyman lubił pracować jako jego podwładny; Muurla wystarczały wyniki, nie doradzał mu, nie kierował nim, nie rządził. Mogło to też wynikać stąd, że nigdy nie potrafił wnieść nic nowego do sprawy. Nyman nie zamierzał się zastanawiać nad taką ewentualnością.

– Na pewno istnieje jakiś powód, dla którego chcą, abyśmy się w to włączyli – powiedział, zadając tym samym pytanie.

– Mówimy o pewnego rodzaju zawodowcach – oznajmił Muurla. – A raczej tak się powinno mówić. Wielu spraw jeszcze nie wyjaśniono. Wygląda to następująco: facet zjawiał się w tym domu zaproszony albo bez zaproszenia, potem przybyli tam na zaproszenie albo bez zaproszenia ludzie, którzy albo go znali, albo nie znali, i działali w sposób zaplanowany albo spontanicznie, no, w każdym razie skutek jest taki, że mamy do czynienia z mężczyzną, któremu złamano kark. Nie mógł tego zrobić zwykły

człowiek, przynajmniej nie właścicielka domu, która jest kobietą i która może być zamieszana w sprawę albo nie. Była wielokrotnie przesłuchiwana. Podtrzymuje to, co zeznała za pierwszym razem: przysłała do domu, wszędzie panował chaos, a na podłodze leżał mężczyzna, którego nigdy nie widziała. Niczego nie można potwierdzić. Oczywiście poza tym, że właścicielka domu, ta kobieta, znajdowała się gdzie indziej podczas całego zdarzenia. Ale czy wiedziała, co się u niej dzieje, to inna sprawa, a jeśli wiedziała, to do jakiego stopnia.

– I właśnie sposób popełnienia czynu wskazuje na zawodowców?

– Tak – potwierdził Muurla. – Zdaniem lekarza sądowego do tego potrzeba dwóch znających się na rzeczy ludzi. Amatorzy czegoś takiego nie potrafią. Trzeba stanąć w odpowiedniej pozycji, znać anatomię człowieka, mieć wycucie czasu, umieć współdziałać. I może jeszcze znać sztuki walki, w grę nie wchodzi żaden tam żółty pas, tylko czarny. I druga sprawa. Niczego nie zabrano. Oni przyszli, załatwili sprawę i zniknęli, zanim pojawiła się właścicielka domu. Tak więc wszystko inne mogli zrobić dla zmylenia śladów. Jak autorzy protokołu ze śledztwa podejrzewają, napastnicy najpierw mocno poturbowali ofiarę, potem zabili w taki sposób, który wymagał wyjątkowych fizycznych umiejętności, a na końcu nabałaganili dla stworzenia pozorów. Do tego mamy jeszcze jeden czynnik utrudniający śledztwo...

Nyman czekał. Muurla oparł się o stół i na zmianę przesuwiał z wysiłkiem w jego stronę to jeden, to drugi łokieć.

– Na początku nastąpiło jakieś małe zamieszanie – powiedział, wwiercając się w podwładnego spojrzeniem szarych oczu. Nyman był do tego przyzwyczajony, ten wzrok świadczył o tym, że niedługo zostanie odesłany z gabinetu szefa, żeby wykonać coś niemożliwego. – Miejscowy patrol policji odebrał telefon alarmowy i zrozumiał, że sytuacja w domu jest nadal niebezpieczna. Policjanci wpadli z rozpędem do środka i zaczęli szarpać tego faceta, bo oczywiście pomyśleli, że to jakiś przypadkowy wariat, który doprawił się dopalaczami, rzucał kamieniami, wybił okna, włamał się, narobił bałaganu i urwał mu się film. Taka tam zwykła rozróżba. Więc te żwawe chłopaki z patrolu też trochę nabałaganiły. A w dodatku dom jest w remoncie i przewija się przez niego tylu ludzi co na przystanku autobusowym. Dlatego też oględziny techniczne okazały się... łagodnie mówiąc... trochę trudne, a śledztwo dotyczące przestępstwa jest prowadzone raczej manualnie, systemem oldskulowym, jak powiada mój syn. A skoro już jesteśmy przy potomkach, to chyba dobrze, że nie macie dzieci, bo przy rozwodzie...

– Kim mam być? – spytał Nyman, zanim Muurla zdążył zagłębić się w temat. Miał wrażenie, że przez ostatni miesiąc zdążył usłyszeć ze czterysta różnych opowieści związanych, czasem bardzo luźno, z rozwodem, choć nie pamiętał, żeby o nie prosił.

– Będziesz się nazywał Jan Kaunisto – oświadczył szef, rzucając na stół plastikową torebkę, przez którą prześwitywał fiński paszport. – Jesteś nauczycielem matematyki. Na urlopie.

– Wspaniale – powiedział Nyman, słysząc jednocześnie,

jak sucho i lakonicznie to zabrzmiało. Był jednak zadowolony, że będzie mógł posługiwać się własnym imieniem. W ten sposób łatwiej przyswoi sobie nową tożsamość.

– Na konto przelano ci miesięczną pensję i świadczenie urlopowe – poinformował go Muurla, otwierając plastikową torebkę na tyle, aby zajrzeć pod paszport. – A tu masz kartę debetową. Kup sobie, czego potrzebujesz, telefon i inne rzeczy. Jakies pytania?

– Mam dużo pytań, ale odpowiedzi znajdę pewnie w materiale dotyczącym śledztwa.

Muurla podał Nymanowi torebkę. Obaj spojrzeli na siebie.

– Chcesz usłyszeć moją teorię?

Nyman milczał. Muurla najwyraźniej odebrał to jako pełną zachęty zgodę.

– Kobieta spotyka mężczyznę – zaczął i skrzyżował ręce na piersi, tak że sprawiał wrażenie potężnej skały. – Ale on okazuje się zupełnie kimś innym, niż jej się wydawało na początku. Kobieta orientuje się, że facet nie odczepi się po dobroci, a ona zna odpowiednich ludzi na mieście. Zatrudnia dwóch rzeźmieszków, żeby się zajęli sprawą. Oni robią to, za co im zapłaciła, a potem pozorują, a właściwie próbują pozorować włamanie albo porachunki.

– I co potem? – spytał Nyman.

– Co masz na myśli?

– Jeśli kobieta wynajęła zawodowców, jak sugerujesz, to oni do niej wrócą. Tacy ludzie nie znikają, obłąpią cię do ostatniego grosza. Będą ciągle wracali.

Muurla zastanawiał się przez chwilę.

- No to dobrze, że będziesz na miejscu - stwierdził.
Potem jeszcze trochę pomyślał i kiwnął głową, ale nie w stronę Nymana, tylko kogoś, kogo jedynie on mógł dostrzec.
- To ta kobieta pociąga tam za sznurki.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).